

TADEUSZ KONWICKI



ROJSTY

Tadeusz Konwicky

ROJSTY

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-19-5

Copyright © for the text by Maria Konwicka (2022)

Copyright © for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2022)

www.estymator.net.pl

Publikacja elektroniczna na podstawie edycji wydawnictwa Agora, Warszawa 2010,
do której tekst, na podstawie rękopisu i wcześniejszych wydań, opracował
Przemysław Kaniecki, przywracając treści usunięte przez cenzurę

Wydanie I: Czytelnik, Warszawa 1956

Projekt okładki: Olga Bołdok

Napisałem tę książkę osiem lat temu. Był to czas obrachunku mego pokolenia z ostatnią wojną, podczas której wchodziliśmy w życie, dokonywaliśmy światopoglądowego wyboru.

Nie jest to pamiętnik, chociaż w narracji użyłem pierwszej osoby. Forma ta zdawała mi się skuteczniejsza, prowokowała bowiem czytelnika do surowej oceny treści moralnych i intelektualnych, które pragnąłem przekazać w swej powieści. Domagając się sprawiedliwego osądzenia sześciu lat wojennych, stanowiących dla wielu z nas w ogóle cały życiorys, posługiwaliśmy się jaskrawą manierą budzenia sprzeciwu, występowaliśmy przeciwko utartym konwencjom ideowym.

Dziś, gdy czytam „Rojsty” po ośmiu latach, widzę wszystkie wady i zalety swej pierwszej książki. Spróbowawszy sił zaledwie w kilku opowiadaniach, gnany niecierpliwością porwałem się na powieść.

Ośmielam się jednak przedstawić czytelnikowi „Rojsty”. Skłoniło mnie do tego pragnienie ukazania pewnych spraw mego pokolenia, wydarzeń pomijanych dotychczas w naszej literaturze. Zdaje mi się też, że niektórych warstw tej powieści teraz już nie potrafiłbym na nowo, skuteczniej przetworzyć.

autor
Warszawa, styczeń 1956

Może niepotrzebnie napisałem tę książkę w 1947 roku. Możliwe, że niepotrzebnie ją wydałem w 1956. Możliwe, że niepotrzebnie ją teraz wznawiam.

Ale taka była moja prawda w sprzeczności z prawdą innych uczestników tego epizodu historii w prowincjonalnym zakątku Europy.

Moja fotografia tamtych czasów. Mój debiut. Moje „Na wschodzie bez zmian”.

[zapisek Tadeusza Konwickiego na teczce z rękopisami, 1991(?)]

I

Siedziałem ze skrzyżowanymi nogami przed olbrzymim, ceglastym piaskowcem. Szarą tekturę oparłem o kamień i wodziłem oczami po fioletowym brzeźniaku. Po krótkiej kontemplacji sięgałem do kieliszka z wodą, maczałem pędzelek i przenosiłem akwarele z poplamionej palety na tekturę.

Było tu cicho. Od folwarku, z dala, naszczekiwał pies. Przez rzadkie, jak przetarte płótno, brzeziny widziałem białawe ściany chałup zaścianku.

Malowałem z nudów. Nie wierzyłem bowiem w swoje zdolności malarskie. Ot, po prostu, kiedy przed pamiętnym wymarszem do tego folwarczku grzebałem się, jeszcze w Wilnie, w swoim plecaku, Ewa przegięta niedbale na krześle zapytała:

– Nie weźmiesz akwarel? Jesienią na wsi będziesz miał dobry pejzaż.

Rozsunąłem, już zaciągnięty, sznurek plecaka i między nogawice ciepłych kalesonów wcisnąłem blaszankę z akwarelami. Znudzona Ewa przyniosła skrawki tapety, które pozostały z odnawiania ich jadalnego pokoju.

Do malowania zaganiała mnie zresztą matka. Sama podobno, jeszcze jako panna na wydaniu, sukcesorka obdłużonych Rzodziszek, też zajmowała się malarstwem. Ówczesne jej utwory, w subtelnym kolorycie utrzymane martwe natury, wisiały w kuchni na wiecznie wilgotnych ścianach. Ojciec, według zdania suchej, astmatycznej ciotki Eulalii, miał o obrazach mojej matki sąd nader krytyczny. Z kresowym, rubasznym humorem nazywał je, nie wiadomo dlaczego, paskuwidłami.

I tak oto z fałszywym personalausweisem, na fałszywym nazwisku wybrałem się na wieś z akwarelami w wypchanym plecaku.

Położyłem jasnozieloną smugę oziminy na kartonie i podniosłem głowę.

– Stefan! – zawołałem.

Pachniało mokrym wrzosem.

– Stefek! – krzyknąłem jeszcze raz.

Zza strzępiastych sosenek wyszło trzech żołnierzy. Mieli przewieszane przez plecy żółte pepesze na parcianych pasach. Zeszli z piaszczystej, leśnej drogi i zbliżyli się do mnie, zastygłego z pędzlem z zieloną akwarelą w wyciągniętej ręce.

– Pażalujtie dakumienty – powiedział wąsaty starszyna.

Trzęsącymi się palcami wydobyłem z kieszeni spodni wytłuszczony umyślnie personalausweis.

Starszyna ujął ostrożnie dokument w palce, oglądając pieczęcie i spojrzał na fotografię.

– Kak familia? – zapytał podstępnie.

Znałem dobrze ten trick. Bez zająknięcia odpowiedziałem natychmiast:

– Żubrowicz.

Fałszywe nazwisko urobiłem od pseudonimu „Żubr”, którego używałem w partyzantce za czasów niemieckich.

Starszyna zmrużył chytrze oczy:

– God raźdienja?

– Tysiacza dziewiet’sot dwadcat’wasmoj – wyrecytowałem błyskawicznie.

– Ot’czestwo?

– Iwanowicz.

Starszyna złożył starannie dokument i podał mi go, salutując grzecznie. Młodszy z jego towarzyszy pokazał palcem mój rozpoczęty pejzaż:

– Chudożnik?

– Daaa – rzekłem przeciągle, rozrabiając fachowo karmin.

Pochylili się trzej nad akwarelą. Starszyna pokręcił głową, popatrzył na zieloną oziminę, potem na fioletowy brzeźniak i powiedział:

– Nu charaszo.

Weszli na drogę i rozpiąwszy pod szyją gimnastiorki, pomaszrowali w kierunku chałup zaścianka.

Położyłem jeszcze błękit nieba, ale zrobił mi się na ozimie paskudny kleks, więc strzeliłem z niechęcią blaszanym wiekiem pudełka od akwarel. Skręciłem w rulon niedokończony pejzaż.

Niebo w górze było czyste, popielate. Stamtąd płynęła niespokojna, dzwoniąca cisza, która przejmowała mnie często niepokojem. Wilno było daleko. Tam zostały książki, do których ostatnio sięgałem coraz rzadziej, i Ewa...

Ruszyłem ku folwarkowi. Szedłem miedzami między szerokim rżyskiem, pociętym wałami zgrabionych resztek zboża: owocem mojej przedwczorajszej pracy.

Koło łązni, przy sadzawce, spotkałem Stefana. Mył zęby przeglądając się w zgniłozielonej wodzie.

– Gdzieżeś się podział? – zapytałem z wymówką.

– Już mi się nie chciało czekać, zanim skończysz te swoje malunki – odpowiedział Stefan, plując białą pianą. – Nazbierałem grzybów i wróciłem.

– Jest łapanka. Sprawdzali mi dokumenty – rzekłem. Usiadłem ostrożnie na mokrym kamieniu.

– Phi, tu też byli. U mnie nawet nie sprawdzali.

– U szczeniaków nie sprawdzają – odpowiedziałem lekceważąco i poszedłem do dworu.

Dano wkrótce obiad. Jadaliśmy w kuchni jako fornale. Rządca i ramolowaty dyrektor posilali się „na pokojach”. Obiad, jak zwykle, nie był obfity: barszcz i wodniste ziemniaki. Od tego menu mieliśmy obaj ze Stefanem wzdęte, napęczniałe kartoflami żołądki. Folwark, w którym pracowaliśmy, nie był zasobny. Niemcy uciekając zabrali, co mogli. Resztę wywiozła cichcem była dziedziczka folwarku, pani Stygniewska, właścicielka dużej apteki w Wilnie. Zdewastowany folwark służył teraz jako „padsobnoje chazajstwo” jakiemuś tam urzędowi litewskiemu.

Po obiedzie rządca zaprosił nas do jadalnego. Dojarka sprzątała właśnie stół. Zbierała talerze z resztkami mięsa, stetryczyły dyrektor „padsobnowo chazajstwa” chował ukradkiem do olbrzymiej dębowej szafy karafkę z samogonem.

– No i co, panie Stanisławie? – spytał rządca, nakręcając patefon. Żółta, chorobliwa twarz, obramowana ciemnoceglastą brodą, skrzywiła się w uśmiechu.

– Ano nic, łapią – odrzekłem, usadawiając się w fotelu. Stefan stał grzecznie przy oknie.

– Owszem, łapią – zgodził się rządca. – A pana sprawdzali?

– Sprawdzali – rzekłem niedbale.

– No i co?

– No i nic, wszystko w porządku.

– He, he, ja tam dobrze wiem, jak jest – zaśmiał się rządca, mrugając porozumiewawczo. Spoglądał przy tym niby to z niepokojem na dyrektora, jakby chciał podkreślić swoją solidaryzującą się z nami postawę.

Głuchawy dyrektor (zatrudniony na tym nie bardzo eksponowanym stanowisku tylko dzięki znajomości rosyjskiego) przydreptał do stołu.

Jakby nawiązując do naszej rozmowy (ukrywał swoją głuchotę), rozpoczął:

– A? Ładna jesień. Jak ja był naczelnikiem kolei w świerdłowskiej guberni, to było, zaraz, w którym to roku, aha, w dziewięćset dwanadcatym. A? Co to ja chciał powiedzieć – stracił wątek myśli – aha, to wtedy całymi wagonami przewozili owoce. Ja zawsze był w kontakcie z przedsiębiorcami. U mnie owoców było skolko ugodno. Żona stawiała na zimę po pięć pudów konfitur. A kupcy zawsze i trochę gotówki podsunęli. Ja wtedy więcej zarabiał jak sam dyrektor żelznodorogi. A? – tu staruszek

zasmucił się i żółtymi palcami, powleczonymi wiotką, za obszerną na te piszczele skórą, począł bębnić w blat stołu.

Nie lubilem tego starca. Ciągłe utyskiwał na złe jedzenie, które mu podobno szkodziło. Psuł, zresztą, powietrze przy każdej okazji, nie krepując się niczyją obecnością. W częstych chwilach rozrzewnienia z przepastnych kieszeni swej marynarki, pamiętającej zapewne dobre, carskie czasy, dobywał żółtkę wycinki gazet i odczytywał z nich wiersze syna, który przebywał teraz w Anglii w oddziałach jakiegoś generała o obcym brzmieniu nazwiska.

Patefon pochrypywał walca angielskiego. Rządca, rzekomo świetny tancerz, zatoczył nogą półkole w przysiadzie.

– Panowie, jutro bierzemy się do młocki – powiedział, prostując się.

Spojrzałem znacząco na Stefana.

– Panie rządco – rozpocząłem z rozważą – chcemy pana zawiadomić, że jutro idziemy do Wilna. Już na nas czas. Dziękujemy za gościnę, musimy wracać.

– Jak to? – skoczył rządca. Kropelki śliny (wymowę miał tzw. płynną) prysnęły szerokim wachlarzem z sinawych warg. – Co to znaczy, że chcecie wracać. Ja mam teraz najgorętszy czas. Trzeba zaorać, zaraz siewy, a jeszcze nic nie młócone...

– Naprawdę, panie rządco, musimy wracać – powiedziałem stanowczo.

– Nie ma mowy. W ogóle nie ma o czym mówić – zaperzył się i kategorycznie uderzył otwartą dłoń w stół, budząc drzemiącego dyrektora. – Ja panów nie puszczę!

Spojrzałem bezradnie na Stefana. Gmerał skromnie w doniczkach ze zwiędłą pelargonią.

Byliśmy tu z łaski rządcy i brata ciotecznego Stefana, który piastował jakieś dość znaczne stanowisko w tym litewskim urzędzie. Wiedziałem dobrze, że ów brat Stefana, skądinąd sympatyczny inżynier, za okupacji niemieckiej podawał się za Białorusina i pracował wydatnie przy budowie młodego państwa białoruskiego pod protektoratem Trzeciej Rzeszy.

Sapiący ze zdenerwowania rządca nastawił nową płytę na patefonie. Niefrasobliwe, rzeźkie brzdąkania walca „Nad pięknym, modrym Dunajem” załaskotały zwapniałe uszy dyrektora. Uniósł głowę i zaraz poczuliśmy przykry zapach: dowód niezadowolenia z dzisiejszego obiadu.

Przybrawszy tajemniczą minę, począłem ściszym głosem przekonywać rządcę o konieczności naszego wymarszu. Napomykałem niby od niechcienia, że organizacja, że otrzymaliśmy nowe rozkazy, polecające przerwanie „melinowania się”, że czeka nas w Wilnie jakieś niebezpieczne zadanie. Owszem, zostalibyśmy chętnie, ale obowiązek...

Pamiętałem częste opowieści rządcy, wygłaszane niby mimochodem, o jego przewagach partyzanckich za okupacji, o specjalnych zadaniach itd.

Jakoż podstęp mój odniósł zamierzony skutek. Rządca, w miarę przytaczania nowych argumentów, potakiwał coraz częściej głową. Wtrącił nawet parę zdań, z których wynikało, że i jemu nieobce są dziś rygory organizacji, bo przecież siedzi tu też nie z własnej woli, ale z polecenia... Tu przymknął oczy i powiedział szeptem: – Sza, ani słowa.

Senne muchy obijały się o szyby. Płyta się skończyła i ostatni akord rozciągał się w długi, chropowaty jęk, gdyż zaaferowany rządca zapomniał podnieść membranę.

Zamyślił się. Potem ostrożnie uszczypnął dyrektorski łokieć.

– Co? A? – obudził się dyrektor.

– Panowie wracają jutro do domu – zakomunikował.

– Szkoda chłopców – zasmucił się dyrektor. – Tylko nie dawajcie więcej na obiad zsiadłego mleka, bo mnie takie burczenie chodzi potem po brzuchu, o – zaczął

masować żołądek zagubiony w fałdach kamizelki.

Podszedłem do stolika z patefonem. Wyszukałem płytę i zwolniłem sprężynę mechanizmu. Odchodząc w fali rzewnego tanga z lat dwudziestych, nie wiedziałem, że ten stary patefon odegra jeszcze skromną rolę w moim życiu.

– Więc jutro rano wymaszerujemy – powiedziałem. – Niech pan do nas żalu nie ma – zwróciłem się do rządcy. – Pan rozumie: obowiązek – dodałem, brnąc w kłamstwie. Mieliśmy bowiem wsi już dosyć. Poganiała mnie zresztą chęć zobaczenia Ewy. Myślałem o niej często podczas bezksiężycowych, sierpniowych nocy, kiedy pasłem folwarczne konie.

– No trudno, trudno, będzie mi brak rąk do pracy, ale trudno – wzruszał, niby to obojętnie, ramionami rządcy.

Wiedziałem dobrze, że nie chciał nas puszczać, gdyż bał się samotności w towarzystwie zdzieciniałego ekscarskiego urzędnika na tej zapadłej, białoruskiej wsi.

– Nie bój się pan, już tam Anglicy się ruszą. Sowietarze niedługo tu posiedzą. Już my im pomożemy się stąd wybrać.

– Daj Boże, daj Boże – powiedział w skupieniu. Czerwone światło zachodu rozlało się na jego rzadkiej, wątlej brodzie.

Siedzieliśmy jeszcze chwilę zamyśleni, nasłuchując częstego warczenia dyrektorskiego żołądka buntującego się przeciwko nieodpowiednim potrawom. Na podwórzu skrzypiał żuraw: to karbowy Kościuk przygotowywał wodę dla bydła wracającego z łąk.

Wyszliśmy na ganek. W zachwaszczonym ogródku grały pasikoniki. Na zachodzie przelewała się żółta luna. Wyżej, w koronkach drzew, szklilo się wilgotne, przezroczyste niebo.

– Patrz pan – powiedział sentymentalnie rządcy, wskazując niebo – tego pan nie potrafisz namalować.

– Phi – zdziwiłem się lekceważąco.

Znad Garbaczek nadpłynął klucz dzikiego ptactwa. Cicho przesączył się między drzewami parku i zginął za czarnym zwałem Puszczy Rudnickiej.

– Ehe – westchnął rządcy.

– Już chyba czas na kolację? A? – zaniepokoił się dyrektor. – Pamiętam, u nas w świerdłowskiej guberni...

Nie słuchaliśmy wynurzeń dyrektora. Poszliśmy ze Stefanem brzegiem błyszczącego stawu do kuchni, gdzie Józefowa czekała nas z kolacją: chudo podlanymi mlekiem zacierkami.

Wieczorem, kiedy przygarnąłem do siebie Emilkę (spaliśmy razem z dziewczętami na sianie), Stefek odezwał się spod krokwi:

– To o której jutro wyjdziemy?

– Zobaczymy – uciąłem niechętnie.

– Gdzie idziecie, wracacie już do domu? – zaniepokoiła się Emilka.

– Nie gadaj głupstw, nigdzie nie wracamy – uspokoiłem ją szeptem.

Przesunąłem palcami po suchej, gorącej skórze jej pleców. Pod łokciem czułem twarde owal piersi.

W zamian za upalne noce opowiadałem Emilce o dalekich i nieznanych jej sprawach, uczyłem ją, że świat nie kończy się przy Puszczy Rudnickiej i że można go poznać: wystarczy tylko sięgnąć ręką.

Tej nocy, zagrzebany w ostrym, pachnącym ostem sianie, całowałem Emilkę, myśląc o Ewie, która przysparzała tyle kłopotów mojemu i tak niespokojnemu życiu.

II

Nazajutrz rano, chociaż to był poniedziałek – najgorętszy na folwarku dzień, wstaliśmy dość późno. Kiedy ocierałem usta po zacierkach, wsunął się do kuchni rządcą:

– Panie Żubrowicz, niech pan pozwoli na chwilę.

Przeszliśmy do starego, zasnutego pajęczyną alkierza. Rządcą wygrzebał ze spodni nowy bloczek kwitów magazynowych.

– Panie Żubrowicz, ja wiem, że pan jesteś nie na swoim nazwisku. Podpisz mi pan parę kwitów. Przydadzą się. A pan i tak nie będziesz za to odpowiadał.

Oprócz funkcji fornala piastowałem w tym folwarczku godność magazyniera. Wieczorami wypisywałem kwity na poślad dla kur, na wapno, gwoździe itp. produkty potrzebne w gospodarce. Często w sobotę późnym wieczorem wykradaliśmy z karbowym Kościukiem żyto ze stodoły i sprzedawaliśmy za samogon w sąsiednim zaścianku. Potem długo w noc popijaliśmy pod biały ser Kościukowej. Emilka płakała zwykle, a siwa Gregorycha podśpiewywała stare białoruskie pieśni rewolucyjne, jeszcze z czasów pańszczyźnianych, kiedy darzył ją miłością młody hrabia Gintowt.

Wspaniałomyślnie podpisałem rządcy cały bloczek. Wypracowałem przy tym piękny zakrętas przy moim obcym nazwisku. Rządcą uściskał mi z wylaniem rękę:

– Do zobaczenia, panie Stanisławie.

– Do zobaczenia – odrzekłem machinalnie.

Z plecakiem wypchanym brudną bielizną i niedokończonymi pejzażami wyruszyliśmy ze Stefanem do Wilna. Akwarele brzęczały w blaszanej puszcze.

Na nieszczęście musieliśmy przechodzić koło pola z burakami, na którym pracowały kobiety. Wyprostowały się i przysłoniwszy oczy od słońca, przyglądały się nam z daleka. Podniosłem dłoń na pożegnanie. Wtedy Emilka, w zielonej spódnicy, zrobiła krok naprzód, jakby chciała pobiec za nami. Ale odwróciliśmy się szybko i grzęznąc w sypkim piachu, pomaszerowaliśmy w kierunku Rudomina. Do sośniaku kościeniskiego towarzyszyła nam jeszcze stara piosenka bab, pracujących przy burakach:

Ej Gala, Gala – Gala maładaja...

Szliśmy znaną mi dobrze drogą. Nieraz woziłem tędy warzywa do urzędu w Wilnie. Z tyłu, na worku z owsem, siedział zwykle dyrektor, drzemiąc lub narzekając na upał. W suchych sośniakach leżało upalne powietrze, pachnące żywicą, nad srebrnymi mchami drgał swąd przypalonej trawy. Poganiałem wtedy leniwego kasztanka, którego co rano podnosiliśmy z Kościukiem na sznurach. Wywijałem groźnie batem, uderzając częściej dyrektora niż konia. Dyrektor budził się wtedy, łapał żółkłymi wąsami powietrze, klnąc brzydko moje zdolności furmańskie.

Pod wieczór ujrzelśmy z szosy przymglone wieże miasta. Stefan, z twarzą umazaną potem i pyłem, uśmiechnął się z ulgą. Nie wytrzymał długich marszów. Trzydzieści kilometrów – to było trochę za dużo na jego szesnaście lat.

O zmroku przemknęliśmy pustymi ulicami miasta. Ze zburzonych domów zwisały wygięte szyny i przewody kanalizacyjne. Spotkanego milicjanta ominęliśmy szerokim łukiem, skręcając na ulicę Zawalną.

Matka przyjęła mnie z niepokojem i radością. Przyjrzała się pod światło (karbidowe, elektryczność jeszcze nie wszędzie była uruchomiona) mojej wymizerowanej twarzy i pokręciła głową. W gabinecie ojca poklepałem niezdecydowanie książki pokryte grubym kurzem i usiadłem pod olbrzymim portretem mego tatusia w kapitańskim mundurze. Ojca pamiętałem słabo. Umarł,

kiedy miałem pięć lat. Zostały po nim ostrogi, szabla, wypłowiały mundur, parę zaśnieżonych krzyży i zwietrzały list odręczny gen. Szeptyckiego do swego wiernego żołnierza dywizji litewsko-białoruskiej. Matka wspominała małżonka z czcią i żalem. Mówiła mi często, że umarł z powodu nadwątlonego zdrowia w okopach podczas wojny z bolszewikami w 1920 roku. Co prawda raz, gdy wkuwałem w tym gabinecie słówka łacińskie, ciotka Eulalia ze starczą zawziętością kłóciła się z moją matką w przyległej kuchni. W ferworze zaciętrzewienia ciotka Eulalia napomknęła wtedy coś o mezaliansie mojej matki. Że matka związała życie z wesołym ułanem, który zaprzepścił Rzodziszkę i sam wpędził siebie do grobu hulankami. Ale w porę przypomniały sobie o mojej obecności. Kłótnię zakończyło obopólne psykanie, uciszenie się i zobowiązanie do niewyolbrzymiania pewnych wypadków w rodzinie.

Po kolacji, której z etażerki przyglądało się popiersie dziadka Piłsudskiego, poszedłem do Ewy. Z przejęciem zadzwoniłem trzy razy: to był nasz umówiony znak. Otworzyła jej matka. Rzuciła mi się w objęcia, mocząc łzami moją świeżo upraną wiatrówkę. Wyswobodziłem się z uścisku przyszłej teściowej i ruszyłem na poszukiwanie Ewy.

Siedziała w saloniku na tapczanie, z książką w ręku. Przypadłem do niej, całując zachłannie rozszerzone w zdumieniu oczy. Odpychała mnie, z kokieterią wciągając nogi pod siebie.

– Skąd się wziąłeś? – spytała.

– Ano, wróciłem – odpowiedziałem, wsadzając drżące ręce do kieszeni wiatrówki.

Zacząłem opowiadać o swojej niedługiej karierze fornalskiej. Ewa śmiała się często, mrużąc oczy. Kazała mi usiąść koło siebie. Gładząc jej ręce, mówiłem szybko o naszej, ze Stefanem, pracy, o naszych skokach z czubka wierzby do stawu, którym przyglądał się w zdumieniu cały białoruski personel folwarku.

Ewa pociągnęła mnie za włosy:

– Zmizerniałeś, pętaku.

Pocałowałem ją spierzchłymi wargami.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI